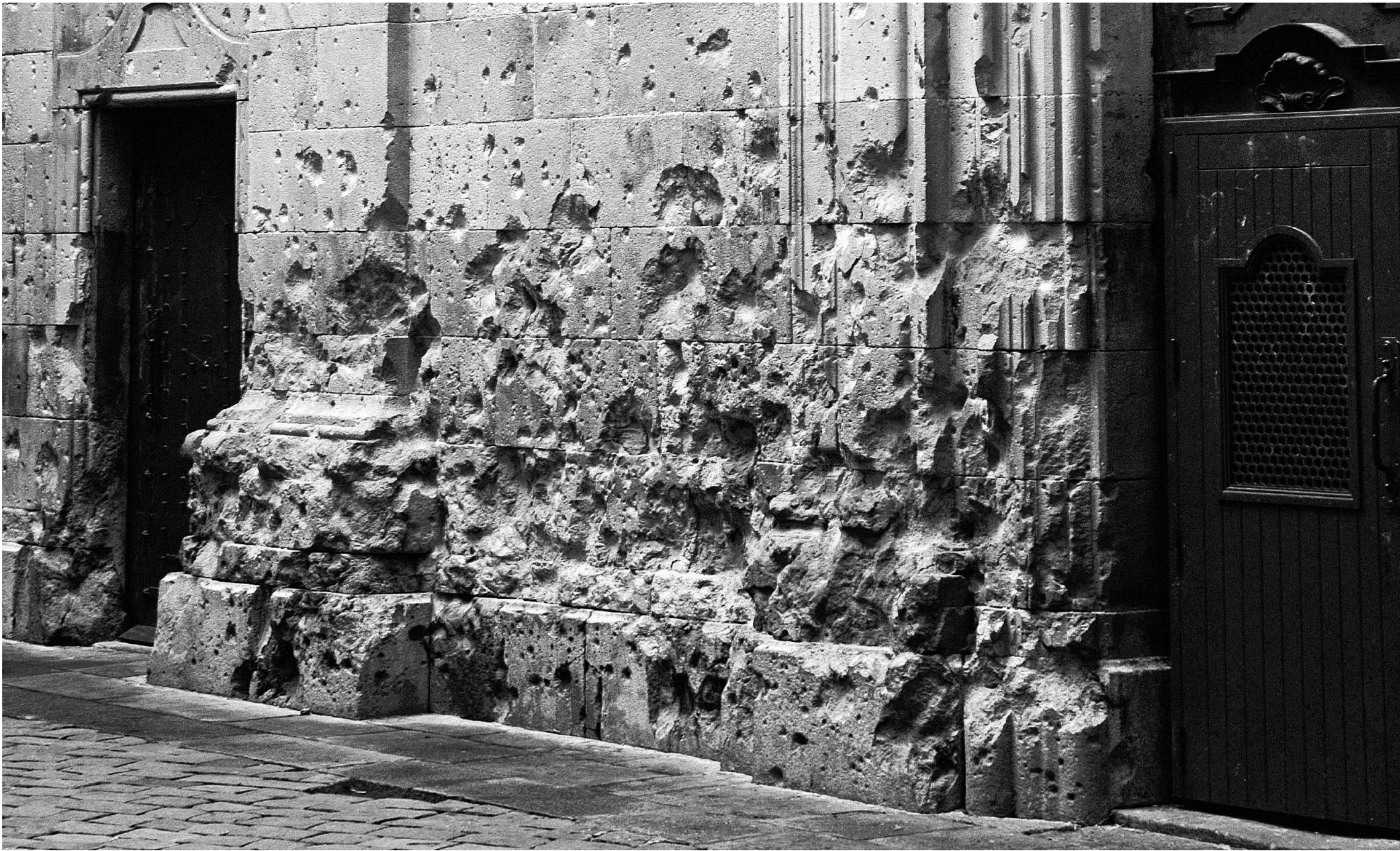




Krystyna Dąbrowska
(ur. w 1979 r.) – poetka, eseistka, tłumaczka, z wykształcenia graficzka. Autorka tomów wierszy: „Biuro podróży” (2006) i „Białe krzesła” (2012), za który otrzymała w 2013 r. Nagrodę Fundacji im. Kościelskich, Nagrodę im. Wisławy Szymborskiej oraz Nagrodę Warszawskiej Premiery Literackiej. Szkice krytyczne publikuje m.in. w: „Literaturze na Świecie”, „Nowych Książkach”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Kulturze Liberalnej”. Jej przekłady W. C. Williamsa, W. B. Yeatsa, Thomasa Hardy’ego i Thoma Gunna ukazały się w „Literaturze na Świecie”; dwie satyry Jonathana Swifta „Bitwa książek. Opowieść balii” – nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego w 2013 r. Tłumaczona na angielski, rosyjski, szwedzki i niemiecki. Mieszka w Warszawie.

Krystyna Dąbrowska

W bocznej sali



Judyta

Znudzone sobą małżeństwo aktorów przy pełnej sali odbębniało kwestie Oblubienicy i Oblubienica z Pieśni nad Pieśniami. Pamiętasz ich? Ja tak nie chcę. Już wołę w wierszu uciąć ci głowę jak Judyta Holofernesowi i z nieco teatralną mieszaniną strachu i gniewu, i rozżalenia patrzeć na miecz w jaskrawych wstążkach krwi, który jakoś nie potrafi opuścić twojego ciała.

Rodzeństwo

Stara kobieta tańczy flamenco. W jej wysiłku tli się dawna lekkość. Jest wysoka, chuda jak zgarbiona czapla, ma falbaniastą spódnicę, zapadnięte policzki. Stara kobieta tańczy młodą, która zginęła w czasie wojny. Po występie zmywa makijaż, zdejmując perukę i suknię, wkłada spodnie, marynarkę i staje się tym, kim jest poza sceną: mężczyzną, bratem zabitej. Stary mężczyzna wraca do domu. Uwił go sobie ze strzępów przeszłości, fotografii, afiszów i wycinków z gazet. Wśród nich wszędzie suknie, które sam haftuje: wielobarwne egzotyczne ptaki. I portret siostry – stawia przy nim kwiaty. Przed wojną jeździli po całej Europie, słynny duet nastoletnich tancerzy. Później getto, ucieczka, rozdzielenie. Wytłumaczył sobie, że jeżeli przeżył, to jedynie żeby wcielić się w nią w tańcu. Stary tancerz zaparza herbatę. Cisza. Pora wygaszonych światel. Za chwilę pójdzie spać, lecz przedtem, tak jak stał, bez kostiumu i pudru, stepuje w progu kuchni w rytm kościanego stukotu kastanietów.

W bocznej sali

Ten obraz nie nadaje się na kubek ani magnes. Bo kto chciałby pić kawę, patrząc na żebraków albo na drzwiach lodówki mieć ich danse macabre. Zbici w krag, o kulach, drewniane protezy przywiązane rzemieniem do kikutów nóg. I te białe kaftany, na których dyndają wyliniałe ogony – lisów, tchórzofretek? Co to, parodia gronostajowych płaszczy? Jeden z nich jest ryzy, lypią sprytne ślepka, inny łapie powietrze rybimi ustami. A na głowach korony i czapki z papieru. Ten obraz nie jest większy niż otwarty zeszyt. Nie prowadzą do niego muzealne strzałki. Trzeba się zgubić, żeby go odkryć w bocznej salce, z której właśnie wychodzi młody Koreańczyk z miną: nic tutaj ciekawego. Sina trawa, mur szpitala?, przytułku? w kolorze lisiej sierści, szare niebo i brama, a za nią nikogo. Tylko postać w opończy, z pustą miską w ręce mija garść obszarpanców, kulawy karnawał, i zostawia cię z nimi sam na sam.

Dwie rzeźby

Byłam jak ta chuda na rydwanie. Zaprzęzonym prawie w nic – w jaskółkę. Trzymałam lejce, widzialne tylko dla mnie.

I nagle je puściłam. Jak tamci z innej rzeźby, tych dwoje w pocałunku, staliśmy się jednym: złączone skrzydła drzwi w domu bez ścian.

Ale chuda wróciła i znów we mnie powozi. Wehodzi między nas jej ostry cień, przynosi piach, przeciąg i burze.

Boję się, że przez nią ciebie stracę. Mówi mi, że bez niej nie mogę ciebie mieć. I pokazuje tnące powietrze skrzydła jaskółki.

Lopian

I Adam poznał Ewę, a Ewa Adama, i od tej chwili dopiero zaczęli się poznawać oczami zmęczonymi po niewyraźnym dniu, rękami, w których coś się rozsypało, coś, co próbują zbierać w urażliwej zgodzie. A tamte pierwsze oczy, łakomi odkrywcy? A tamte ręce, które odnajdują pod skórą chłodne i gorące prądy? To są te same oczy, te same ręce? Kiedy oboje przestają w to wierzyć, pojawia się gąszcz łopianów z ich wspólnej górskiej ścieżki.

Nad morze

Pan Hadżama, Żyd z Maroka, mieszkał na osiedlu imigrantów pod Tel Awiwem i sprzedawał krowie łajno na opał. Krążył ze swoim wózkiem po sąsiadach, dzień w dzień w tej samej wyblakłej, poplamionej koszuli, a dzieciaki wołały za nim: Pan Pidżama! Pan Pidżama! I on, i jego liczna rodzina, i barak, w którym żyli, wszystko zalaływało gnojem. Omijał ich, kto mógł. Leczył pan Hadżama, pan Pidżama, nędzarz, przy którym każdy czuł się lepszy, miał coś, czego na całym osiedlu nie miał nikt. Inni, żeby dostać się nad morze, musieli płacić przewoźnikom, a on sadzał rodzinę na śmierdzący wózek i jechał tam, kiedy chciał.

Twarz mojego sąsiada

1.
Twarz mojego sąsiada, profesora, któremu umarła żona, stała się nagle naga, pozbawiona osłon. Kiedy spotkałam go na podwórzu i zaczął mówić niespodziewanie otwarcie, ile rzeczy mu ją przypomina, miałam wrażenie, że zobaczyłam jego twarz po raz pierwszy.

Jak ten dom naprzeciwko – do niedawna osłaniał go wielki kasztanowiec, ale burza złamała drzewo i trzeba było je ściąć. I zanim brak zarośnie przyzwyczajeniem, widzę okna domu, dziejące się w nich życie.

2.
Jasna koszula. Głowa rzymskiego patrycjusza. Nienaruszalne miejsce parkingowe pod murkiem, na którym po deszczu parkują też ślimaki. Długo myślałam: nienaganny pan, idzie przez swoje poukładane życie tak jak co rano przez podwórze. Dałabym mu góra siedemdziesiąt lat. Ma osiemdziesiąt dwa, powiedział mi ostatnio, i jako chłopiec był w warszawskim getcie. Ojciec i brat zginęli. Ocalał on z matką.

Alina Szapocznikow pisała o chrzcie rozpaczy. Ilu milczy o tym, że go przeszli.